



O DWA MILIONY

Amerykańska powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył J. R.

(Ciąg dalszy).

— Dziękuję. Proszę, niech pani wejdzie do prywatnego gabinetu mister Milesa. Ja się tymczasem telefonicznie z nim rozmówię.

Młoda kobieta usiadła na krześle w zbytkonie i z wyszukaną elegancją urządzonym pokoju a mister Zygmunt podszedł do telefonu, nacisnął guzik i przyłożył do ucha słuchawkę.

W małym pokoiku na trzecim piętrze, urządzonym zupełnie tak samo jak ten, w którym stał mister Zygmunt, zabrzmiał w tej samej chwili dzwonek, a w parę sekund później przestąpił próg młody mister Vanderhook.

— Któż tam znowu? — rzekł, zwrócony do tuby telefonicznego aparatu — a, to pan, mister Zygmunt, tak, tak. Jak się nazywa? Miss Collins? Nie znam. Ale niech zaczeka, przyjdę, jak będę mógł najprędzej.

Ze spuszczoną głową opuścił mister Vanderhook pokój i udał się do stosunkowo małego, ale urządzonego z niebywałym przepychem gabinetu, znajdującego się na temsamym piętrze. Podłoga zasłana była miękkimi dywanami, sufit ozdobiony pysznymi sztukateriami, a z pomiędzy kosztownych malowideł, ze smakiem poumieszczanych na ścianach, przebiegały wspaniałe tapety. Pośród tych wspaniałości siedział szef banku ze spuszczoną głową, z oczyma utkwionymi w podłogę. Jedną ręką zwiśla mu bezwładnie, drugą, również jakby bezwładną, oparł na stole. Wysoka postać starca, zdawało się, skurczyła się i zgarbiła, wewnątrz opanowana niepokojem. Wilgotne jeszcze ślady łez lśniły na pomarszczonych policzkach.

Kiedy młody Vanderhook wszedł i miarowym krokiem zbliżył się, starzec się podniósł, a w oczach jego zabłyśły ognie.

— Moja to wina, moja, Milesie — rzekł drżącym głosem — zarzuty, jakie ja tobie robię, po części mnie samego dotyczą. Matka twoja za młodu cię odumarała, ty byłeś jeszcze małym chłopcem. Cała moja miłość przeniosła się wtedy na ciebie. Ja cię wychowałem i ja cię zaprzepaściłem, bo nie miałem na tyle siły, aby się oprzeć twoim żądaniom. Liczyłem na twoje serce, na twoją miłość ku mnie, na twoją wdzięczność...

Miles poruszył niecierpliwie głową.

— I nie pomyliłeś się, ojcie — rzekł cicho.

— Co? Nie pomyliłem się? Czyż od dwóch lat poświęciłeś mnie, ojcu twemu, sekundę czasu? Tak, haha, prawda, nie liczę tych wszystkich chwil, kiedy się do mnie zwracałeś po pieniądze. Dawałem ci je pełną garścią, bo miałem nadzieję, że nadejdzie czas, kiedy się usatujesz. Ale — ale, Milesie, że to do tego doszło...

— Do czego? — wybuchnął młodzieniec. — areszcie możemy mówić otwarcie i bez ogródek.

Czy uważasz mnie za zdolnego do zbrodni? Czy mogła kiedy choćby na sekundę przeblysnąć w umyśle twoim myśl, że ja jestem zwyczajnym złodziejem, włamywaczem, a więc wyrafinowanym zbrodniarzem? Jeśli tak, to w tej chwili dom ten opuszczam i więcej już nie mam ojca.

Starzec potrząsnął głową.

— Nie przystoi ci ten ton, Milesie. Podejrzenie padło na ciebie, a ty nie robisz nic, aby je odsunąć.

— Nie mogę!

— A więc też musisz wysłuchać i cierpkich słów. Posłuchaj: Przed trzema tygodniami przyszedłeś do mnie i zażądałeś sumy, która mnie wystarcza na prowadzenie domu przez cały rok. Odmówiłem ci jej — po raz pierwszy nie uczyniłem zadość twemu życzeniu. To była próba, Milesie. Co on teraz robi, myślałem, czy się usatkuje nareszcie? Obserwowałem cię wtedy, jak mogłem najlepiej, nawet wtedy, kiedy się czułeś zupełnie bezpiecznym. Wiem o tem, że całe noce przepędzałeś w szulerniach, po części bardzo dobrze znanych policyi, wiem, że zarabiałeś tysiące, aleś też tysiące tracił. Z jakiego źródła pokrywałeś niedobór? Nie wygrywałeś tyle, ileś przegrywał, a obserwowałem też czujnie i twoje inne wydatki.

— Ojcie, przysięgam ci, że teraz będzie inaczej, rzekł, patrząc na starca szeroko rozwartymi oczyma. — Od dłuższego czasu było twoim życzeniem, ażebyś się ożenił, więc teraz — czegoż mam to trzymać w tajemnicy — od niedawna noszę się na seryo z myślą spełnienia twego życzenia. Wprawdzie wybór mój padł na dziewczynę biedną, ale...

— Zamilcz, Milesie — przerwał starzec — nie o przyszłości tu mowa, ale o teraźniejszości. Gdybym ja nie był moim honorem zaręczony, stałbyś nie tu, byłbyś teraz w więzieniu pod zarzutem zbrodni kradzieży z włamaniem, nazwisko Vanderhook byłoby skalane, firma zrujnowana. Czy ty nie czujesz, w jakim strasliwym ja się znajduję położeniu? Nie wiem, czy ci mam, czy ci mogę wierzyć. Twoje pełne godności zachowanie się, twoje wzburzenie, twoje miękkie, łaskoczące słowa mogą być przecież piekielnymi sztukami zbrodniarza, który u włamywaczy odbył szkołę. Odchodzę po prostu od zmysłów. Przed trzema tygodniami zażądałeś odemnie pieniędzy, ja ci ich odmówiłem. Czy mam uwierzyć w to, że ty zaprzestałeś dawnego życia, że się tak nagle z gruntu zmieniłeś? Czy to włamanie i kradzież pieniędzy nie jest jakoby odpowiedzią na moje zwątpienia? O Boże! Milesie, gdyby moje straszne przeczucie miało stać się prawdą! Gdybym syna na wieki miał utracić! Nie, nie, nie mogę w to uwierzyć, myśl ta mnie pożera — mów do mnie, dziecko, mów, bo wątpię!...

Miles patrzył z boleścią na starca, który jakby wrósł do fotelu i zakrył twarz rękoma. Głębokie westchnienie wydarło się z piersi młodzieńca, wargi mu drżały.

— Na Boga wszechmocnego, jestem niewinny —

zawołał. — Wiem, podejrzenie padło na mnie, ale przysięgam ci, że w umyśle moim nigdy nie powstała żadna myśl niehonorowa, żadna myśl nieuczciwa...

— A któż to był ten wysoki mężczyzna, z bujnymi czarnymi włosami, ten włamywacz, który tak do ciebie jest podobny?

— Czy ja wiem, ojcie? Przecież jest bardzo prawdopodobne, że złodzieje, którzy doskonale znali mój sposób życia, wybrali właśnie taką maskę, ażeby podejrzenie rzucić na mnie. Liczyli, zdaje się, na to, że ja, aby uniknąć skandalu, śledztwa itd. ucieknę stąd. Ale się łudzą, bo ja tu pozostanę, chyba, że mi ty, ojcie, iść każesz!

— Choćbyś chciał, Milesie, nie mógłbyś. Pilnują cię na każdym kroku. Sądzą powszechnie, że ty, kiedy się już uspokoi i policja zacznie już sprawę zaniedbywać, zechcesz ze zrabowanymi pieniędzmi uciec w świat.

— Ze zrabowanymi pieniędzmi?! Dlaczegoż podejrzenie pada wyłącznie na mnie?! Dlaczego nie padnie na Boba Murphy?!

— Dotychczas był on w więzieniu. W domu u niego zrobiono rewizję, przewrócono wszystko do cna — nic nie wskazuje na jego winę, ani nawet na jego współudział w kradzieży. Ciało jego pokryte jest sińcami; to ślady razów, jakich mu złodzieje nie szczędzili. Biedaczysko wycierpiał dzisiaj w nocy tyle, że Bogu dziękować powinien, iż jeszcze żyje. A zresztą znamy przecie jego wierność, jego prostotę i jego ograniczoność, która wyklucza możliwość, aby on brał jakiś udział w kradzieży. Nie, Milesie, policja dobrze zrobiła, że mu uwierzyła.

— I ja mu nie mam nic do zarzucenia — rzekł Miles — ale jakże sprawa z mister Zygmunt? Czyż on także nie wykonywał straży?

— Powiernika mego nie tykaj — rzekł ostro mister Vanderhook — nie tykaj tego człowieka, który przez swoją wierność tyloletnią, przez pełną poświęcenia pracę stał się moim przyjacielem.

— Dla policyi, ojcie, przyjaźń ta może bardzo mało znaczyć. Niejeden już pocziwiec w rezultacie okazał się złodziejem. Ja osobiście nie mam podejrzenia ani na mister Zygmunta, ani na żadnego z naszych urzędników. Ale jest faktem, nie dającym się zaprzeczyć, że także mister Zygmunt zastępował stróża i że on w każdym razie miał lepsze pojęcie o stanie naszej kasy, aniżeli ja.

— Między złodziejami nie było jednak nikogo, któryby do niego był podobny.

— Prawdą!

— Zresztą on wykazał niezbić, gdzie był tego wieczora czy tej nocy.

— Ja także!

— Ty także? Nie czujesz ty, że opowiadanie twoje wygląda na bajkę? Czyż twoje tłumaczenie się nie utwierdzi każdego w podejrzeniu przeciwko tobie? Przyjaciele twoi przyjeżdżają późno w nocy z Dalekiego Zachodu, w twoim towarzystwie udają się do portu i siadają na okręt. I kiedy ich po-